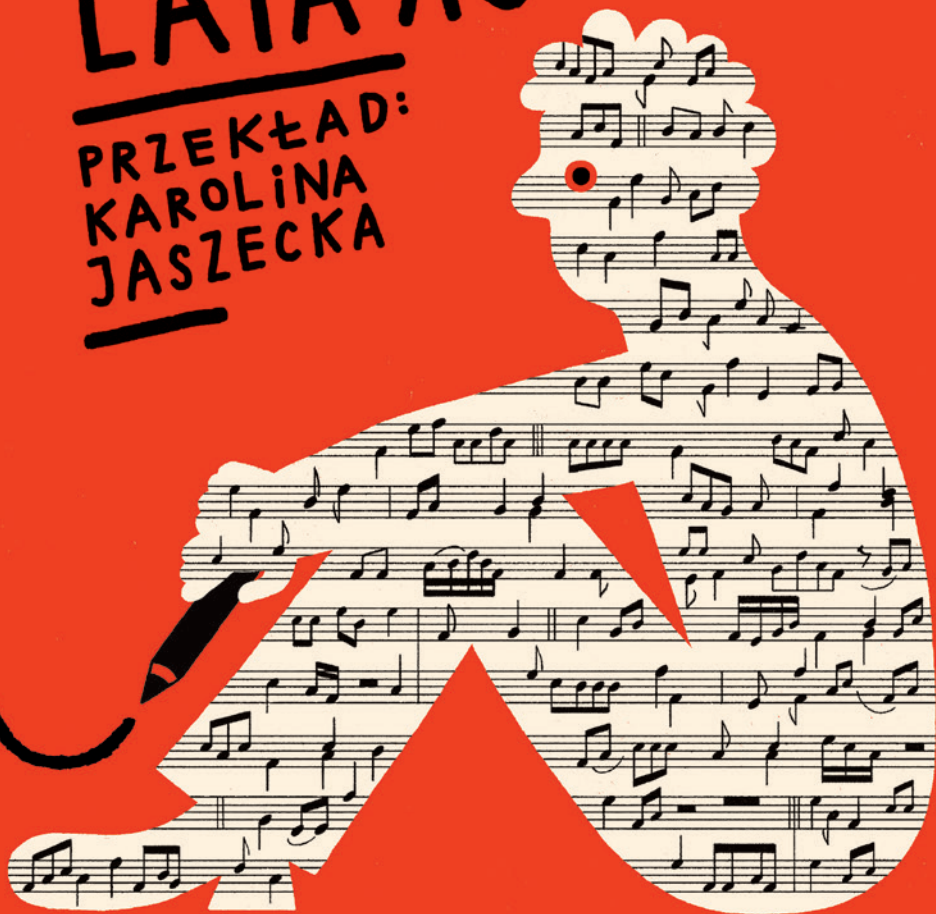


WOLFGANG (NIEZWYCZAJNY) LAIA AGUILAR

PRZEKŁAD:
KAROLINA
JASZECKA



LAIA AGUILAR

WOLFGANG
(NIEZWYCZAJNY)

przełożyła Karolina Jaszecka



Piaseczno 2022

Tytuł oryginału: *Wolfgang (extraordinari)*

Text copyright © Laia Aguilar

© tłumaczenie Karolina Jaszecka 2021

© for Polish edition by Wydawnictwo Widnokrag 2021

Redaktorka prowadząca: Dorota Górka

Makieta, skład i łamanie wersji polskiej: Maria Gromek

Projekt okładki i elementy graficzne wewnątrz książki: Agata Dudek | Acapulco Studio

Redakcja językowa: Alicja Laskowska

Korekty: Magdalena Wójcik, Redaktornia.com

Opieka produkcyjna: Multiprint Joanna Danieluk



Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”

Wsparcie Komisji Europejskiej dla wydania tej publikacji nie stanowi poparcia dla treści, które odzwierciedlają jedynie poglądy autorów, a Komisja nie może zostać pociągnięta do odpowiedzialności za jakiegokolwiek wykorzystanie informacji w niej zawartych.

Tłumaczenie książki zostało dofinansowane przez Instytut Ramona Llulla.

LLL institut
ramon llull

Piaseczno 2022

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-962738-8-8

Wydawnictwo WIDNOKRĄG

www.wydawnictwo-widnokrag.pl



Dowiedz się
więcej



Dla moich rodziców



Mam jedenaście lat i nie jestem *gąbką*.

Gąbka morska, po łacinie *porifera*, jest najprymitywniejszym zwierzęciem wodnym. Nie posiada twardej czaszki, tkanek mięśniowych ani nerwowych. Kiedy więc mówię, że nie jestem *gąbką*, chodzi mi o to, że nie przypominam większości otaczających mnie ludzi, którzy mają raczej niski iloraz inteligencji.

Nazywam ich też *ograniczonymi*. Albo *poniżej setki*. Albo *przeciętniakami*. Albo *normalnymi* i *zwykłymi*, bo właśnie tacy są prawie wszyscy ludzie.

Z tego, co mi wiadomo, mój domniemany ojciec ma wszystkie najbardziej charakterystyczne cechy *gąbki*. Według słów mojej mamy, pewnego dnia nas porzucił. Cóż, typowe zachowanie dla przeciętniaka...

Cieszę się, że sam pod żadnym względem nie jestem *przeciętnikiem*...

Mój iloraz inteligencji wynosi sto pięćdziesiąt dwa, co oznacza, że mam nadzwyczajne predyspozycje do zrozumienia świata.

Lubię matematykę, inne nauki ścisłe i muzykę. I nie rozumiem, dlaczego dzieci w mojej klasie – przepraszam, nudne dzieci w mojej klasie – mają tak pospolite zainteresowania jak granie na konsoli, czytanie komiksów czy bezsensowne ganiecie się po podwórku. A nauczyciele? Rany, co za nudziarze. „Dzieci, otwórzcie zeszyty i przygotujcie się do dyktanda. Dzieci, wyszukajcie w internecie informacje o Neptunie”. Przecież mogliby zapytać, jak dotrzeć do Neptuna.

Na szczęście – przepraszam, nie „na szczęście”, tylko dzięki inteligencji wybitnie uzdolnionych dzieciaków takich jak ja – wcześniej czy później człowiek wyląduje na Neptunie i zacznie kolonizować inne planety. Oczywiście wszystko to się stanie pod warunkiem, że pozwolą nam rozwijać nasz wyjątkowy potencjał. Niestety w tym kraju, w odróżnieniu na przykład od Stanów Zjednoczonych albo Japonii, nikt nie docenia wybitnie inteligentnych dzieci takich jak ja. U nas... Co za wstyd. Miesza się nas z pozabawionymi motywacji dziećmi-*gąbkami*, które przez cały dzień wygadują bezsensowne bzdury...

Skoro jesteśmy przy bezsensowności: dzisiaj na skutek wewnętrznego krwotoku zmarła moja mama. A ja... Ja wciąż się zastanawiam, dlaczego krew przestała płynąć przez jej tętnicę szyjną, doprowadzając do natychmiastowej śmierci.



Babcia Matilde ubrała mnie w marynarkę i teraz witam się z mnóstwem obcych mi ludzi. Oprócz babci i ciotki Berty przyszła też moja nauczycielka muzyki Mia w towarzystwie kilkorga znajomych, których widzę pierwszy raz w życiu.

Babcia szepcze mi do ucha, że właśnie przyszedł wuj Ciscu – ten z Tony, którego pewnie nie pamiętam – ze swoją drugą żoną i jakimś dalekim krewnym. Kim są pozostałe osoby? Nie mam pojęcia. Przyszły z obowiązku? Z przyjaźni? Dla zachowania pozorów? O takim pojęciu jak śmierć mówi się bardzo dużo, ale przede wszystkim bzdury.

Chociaż według niektórych wierzeń pewnego dnia pójdziemy do nieba, w rzeczywistości zgnijemy w trumnie i zjedzą nas robaki. Gdy umieramy, komórki w naszym ciele przestają otrzymywać tlen i ulegają zniszczeniu, a bakterie

rozpoczynają proces rozkładu. Co ciekawe, komórki mózgowie umierają w ciągu trzech do czterech minut po naszej śmierci, za to komórki skóry pozostają żywe jeszcze nawet przez dobę.

Biorąc więc pod uwagę, że moja mama zmarła dokładnie... dwadzieścia dwie godziny, dwanaście minut i piętnaście sekund temu, komórki znajdujące się w jej skórze praktycznie nie są jeszcze martwe. A to znaczy, że jedna ósma mojej mamy wciąż żyje i walczy o przetrwanie.

Spoglądam na trumnę i przebiega mnie dziwny dreszcz.

Mama, z którą byłem wczoraj na plaży, z którą słuchałem *Czarodziejskiego fletu* Mozarta i z którą jadłem przed południem ciastka, teraz leży w tym pudle. Nie! Nie zniosę tego! Stojąca obok sopranistka stara się śpiewać *Ave Maria*, ale robi to o pół tonu za nisko. Jak to możliwe? Jak mogli zatrudnić śpiewaczkę, która fałszuje gamę Es-dur?

Wbijam w nią wzrok, zrywam się nagle z miejsca i wołam:

– Dość!

Babcia pyta mnie zawstydzonym szeptem:

– Co ty robisz, dziecko?

A ja odpowiadam, że jedna ósma mojej mamy nie zasługuje na ten cały cyrk.



Po pogrzebie babcia Matilde i ciotka Berta zabierają mnie do domu na ciasto jogurtowe i gorącą czekoladę. W każdą niedzielę odwiedzamy – odwiedzaliśmy – z mamą babcie, która częstowała nas ciastem, a potem rozwiązywałem równania albo grałem na pianinie. Dzisiaj jest inaczej. W odróżnieniu od innych dni dzisiaj czuję się... rozczarowany. Mama mnie opuściła, a ja nie do końca rozumiem dlaczego. W dodatku babcia, która ciągle wyciera oczy, twierdząc, że coś jej do nich wpadło, nie upiekła tego ciasta co zwykle. To dzisiejsze jest nie takie słodkie, nie takie pulchne i w ogóle nie takie.

Nie mam ochoty z nikim rozmawiać, więc siadam do pianina. Jego dźwięki nie brzmią tak delikatnie jak w ubiegłą środę. Ale nawet mi się to podoba. I kiedy babcia z ciotką rozmawiają o rzeczach, które mnie nudzą, gram *Wielką symfonię g-moll* Mozarta, naciskając pedał tłumika, bo babcia nie lubi, kiedy hałasuję.

Mama twierdzi – a raczej twierdziła – że muzykę noszę w sobie. Dlatego mam na imię Wolfgang (od Wolfganga Amadeusza Mozarta). Zapewniała, że kiedy miałem za ledwie siedem miesięcy i byłem jeszcze w jej brzuchu, na dźwięk *Czarodziejskiego fletu* odwróciłem się nagle, fikając

koziółka, żeby lepiej słyszeć wysokie tony. Babcia natomiast wspomina, że kiedy zabrała mnie, dwulatka, na potańcówkę z okazji święta Tony, tańczyłem aż do trzeciej nad ranem. Mama śmiała się, że ledwo trzymałem się na nogach ze zmęczenia i oczy mi się zamykały, ale i tak nie potrafiłem przestać, jakby muzyka całkowicie mnie pochłonęła.

Ku zaskoczeniu wszystkich, kiedy skończyłem trzy lata, zacząłem grać na pianinie. A w wieku sześciu lat, podobnie jak Mozart, byłem w stanie skomponować pierwsze własne utwory. Wszystko to w dużej mierze dzięki Mii, mojej nauczycielce muzyki, która jest też psycholożką i jedną z niewielu osób, które naprawdę mnie rozumieją.

Mia powtarza mi, żebym bardziej się wyluzował i nie traktował muzyki jak zadania z matematyki. Stosuję się do jej rad. I chociaż jest całkiem fajna, muszę przyznać, że daleko jej do mojego poziomu grania. Może dlatego, że jej iloraz inteligencji wynosi sto dziesięć. Biedaczka... A może nie czuje muzyki tak głęboko jak ja.

Szykuję się do zagrania symfonii, kiedy do moich uszu dociera coś, co wprawia mnie w osłupienie. Można też powiedzieć, że odbiera mi mowę.

– Ma zamieszkać z tym nieudacznikiem? Biedny chłopak, tylko tego mu brakowało...



Babcia Matilde i ciotka Berta siadają ze mną w pokoju i pokazują mi stary album. Na większości zdjęć pozuję z mamą, babcią albo ciotką w najróżniejszych miejscach.

Babcia mówi, że nasza rodzina jest niewielka, ale bardzo zżyta. I chociaż jest nas mało – kiedyś mieliśmy jeszcze kota i kanarka, ale niestety zdechły – nic i nikt nie jest w stanie osłabić naszej wzajemnej miłości.

Przyglądam się jednemu ze zdjęć, na którym jestem z mamą, i zauważam, że jak większość fotografii u babci ma nierówne krawędzie.

Babcia od pewnego czasu ma w zwyczaju wycinać ze zdjęć wszystko, co jej się nie podoba, twierdząc, że „statyści tylko je szpecą i wszystko psują”. Potrafiła całymi godzinami przycinać fotografie według własnego gustu, dopóki nie odkryła programu komputerowego, który pozwala robić dokładnie to samo, ale szybciej. Odtąd babcia, która jest bystra i dawniej prowadziła księgowość w firmie odzieżowej, została ekspertką w jego obsłudze. Chociaż ma już sześćdziesiąt dziewięć lat!

Patrzę znów na zdjęcie, z którego uśmiecha się do mnie mama. Jest – była – kobietą średniego wzrostu, o szczupłym, niemal kościstym ciele, miała brązowe oczy i piękne włosy...

Obiektywnie można stwierdzić, że była piękna, chociaż z upływem lat pod jej oczami pojawiły się duże worki, a cera przybrała żółtawy odcień szkolnych korytarzy.

Przyglądam się jej i czuję reakcję chemiczną wywołaną przez jakiś neuron w mojej głowie. Ściska mnie w żołądku, mój mózg się zawiesza...

– Musimy porozmawiać, Wolfgangu – mówi babcia, biorąc mnie za rękę.

Usta jej drżą, ale nie wiem dlaczego. Nagle ciotka Berta, która nie jest tak mądra jak moja babcia, bo chyba nie skończyła żadnej szkoły, wybucha płaczem.

– Trudno w to uwierzyć, kochanie – ciągnie babcia – ale twoja mama napisała... że gdyby kiedykolwiek coś jej się stało, chce, abyś zamieszkał z ojcem...

W moich neuronach następuje zwarcie.

– Przecież ja nie mam ojca!

Babcia i ciotka przytakują jednocześnie.

– My też nic z tego nie rozumiemy. Musimy jednak uszanować jej wolę, czy nam się to podoba, czy nie.

– Nie martw się, Wolfgangu – dodaje ciotka Berta. – Cokolwiek się stanie, zawsze będziemy przy tobie.

Wyobrażam sobie zdjęcie pełne wkurzających statystów i myślę, że chciałbym umieć obsługiwać ten program komputerowy tak dobrze jak babcia. Wyciąłbym sylwetkę

mojego domniemanego ojca, zostawiłbym tylko mamę, kota, kanarka, babcię i ciotkę... Naszą rodzinę.



Nie. Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi w to uwierzyć. Mama, w wieku zaledwie czterdziestu pięciu lat, spisała testament, stwierdzając w nim, że gdyby coś jej się stało, powinienem zamieszkać z mężczyzną, który podobno jest moim ojcem. Najadła się szaleju? Mama często używała tego wyrażenia, lubiła takie powiedzonka. Wróćmy jednak do testamentu. Teraz okazuje się, że mam ojca, który chce się mną zająć.

A gdzie mój rzekomy ojciec był przez te wszystkie lata? Wiadomo, że ma na imię Carles. Jednak zamiast mówić do niego „tato”, będę go nazywać „panem Carlesem”. Bo w moim rozumieniu ojciec to nie tylko ktoś, kto spłodził dziecko, ale też człowiek, który się o nie troszczy i bierze na siebie odpowiedzialność za jego wychowanie. I powinien je kochać. Chociaż z tego, co wiem, jest wielu ojców, którzy mieszkają ze swoimi dziećmi, ale ich nie Kochają... albo Kochają je tylko trochę.

Mama powiedziała mi kiedyś, że poznała pana Carlesa pewnego letniego wieczoru podczas festynu w Tonie i spodobał się sobie. Faj, na samą myśl o tym zaczyna

mnie mdlić i boję się, że zwymiotuję klopsiki, które zjadłem na obiad. Pocałunki i uściski są obrzydliwe, niehigieniczne i przenoszą bakterie. Chyba dodam je do mojej LISTY RZECZY BEZUŻYTECZNYCH, to znaczy takich, które robią dorośli albo dzieci, choć nie mają one absolutnie żadnego sensu.

Do tej pory zapisałem:

LISTA RZECZY BEZUŻYTECZNYCH

- drzemka po obiedzie
- czytanie powieści
- jedzenie obiadu w porze obiadowej i kolacji w porze kolacji
- pisanie dyktand
- całowanie się i obściskiwanie
- mówienie „kocham cię”